

Geny i wychowanie

1 lutego 2011

W dzieciństwie stale słyszałem: „Andrzejek to pewnie na leśnictwo pójdzie”. Na wszystkich zjazdach rodzinnych ciągle powtarzano to zdanie i dyskutowano o mojej przyszłości. Mnie nikt o zdanie nie pytał i może dobrze, bo powtarzany do znudzenia zwrot kojarzył mi się jedynie z... naleśnikami, które zresztą, jak większość dzieci – bardzo lubiłem.

Jako pierwszy męski potomek w naszej rodzinie, urodzony po całej serii wnuczek, już od początku byłem wybrany i naznaczony. Rodzina żywiła spore nadzieje na to, że pójdę w ślady dziadka oraz wujka. Nawet wybór mojego imienia nie był przypadkowy, odziedziczyłem je po nich obu. Nie miałem, zdaniem rozlicznych wujków i ciotek, wyboru. Musiałem zostać leśnikiem.

NIEDALEKO PADA JABŁKO OD JABŁONI

Nie wiem czy pod wpływem rodzinnej presji, czy wskutek częstego kontaktu z krajobrazem wiejsko-leśnym oraz własnych zainteresowań, od dzieciństwa rzeczywiście pasjonowała mnie „przyroda”. Uwielbiałem karmić zwierzęta gospodarskie. Mimo, że karmione były wczesnym świtem, kazałem się budzić i z wypiekami na twarzy biegłem „odbywać zwierzęta” czyli karmić kury, nutrie i psa. Wujek szedł do pracy, a ja zostawałem w domu sam z babcią. Wtedy szedłem do pobliskiego lasu aby poszukiwać żyjących tam salamander lub zostawałem by podglądać zwyczaje nutrii.

Aniołek, który w naszych stronach przynosił dzieciom prezenty pod choinkę, był chyba z moją rodziną w zмовie. Jednym z pierwszych poważnych prezentów jakim mnie obdarował, był mikroskop. Ku zadowoleniu rodziny, no i zapewne samego Aniołka, prezent spodobał mi się do tego stopnia, że potrafiłem całymi godzinami wpatrywać się w soczewkę okularu i

podziwiać świat, którego nie dało się dostrzec gołym okiem. Moim pierwszym polem doświadczalnym była woda z akwarium... które oczywiście miałem od wczesnych lat dzieciństwa, bo przecież „Andrzejek tak lubi zwierzątka”. Ku mojemu zdziwieniu i wielkiemu zaskoczeniu, woda która wyglądała na czystą, kryła w sobie niezliczoną ilość organizmów. Oglądałem zatem glony i pierwotniaki. Największe wrażenie robiły na mnie oczywiście okrzemki, z ich krzemionkowym pancerzykami i zadziwiającej geometrii wzorów. Gdy nieco dorosłem i dostałem zaszczytu noszenia kluczy od mieszkania na szyi, zacząłem sam wracać ze szkoły. Wtedy obszar moich eksploracji naukowych znacznie się poszerzył. W potoku polowałem na wypławki, a z zalewisk, których sporo było na osiedlu, przynosiłem do domu stułbie, rozwielitki, traszki i ropuchy. W domu stale znajdowały również schronienie ptaki wypadłe z gniazda. Mama, mimo, że czasem wyrażała swoją dezaprobatę co do moich pasji, znosiła to wszystko z stoickim spokojem. No cóż, przecież miałem i musiałem zostać leśnikiem...

W szkole jednym z pierwszych kółek zainteresowań w jakim „chciałem” uczestniczyć było kółko przyrodnicze. Rodzina była szczęśliwa.

Moje zainteresowania szkolne poszerzały się jednak. Talentów humanistycznych nie posiadałem. „Dórza żeka fpada do moża”, zdanie które napisałem na dyktandzie w czwartej klasie szkoły podstawowej, do dziś jest jednym z „sukcesów” chętnie wspominanych przez wszystkich w trakcie rodzinnych spotkań. Dzięki dobrym nauczycielom matematyki oraz wrodzonemu antytalentowi humanistycznemu rozpoczął się mój romans z królową nauk. Romans, który ostatecznie zakończył się wyborem liceum. Wybrałem patronackie liceum Politechniki Śląskiej z klasą o profilu matematyczno-fizycznym. Mój wybór nie ucieszył krewnych, ale i tak nadal wierzyli, że „pójdę na leśnictwo”. Nawet wtedy, gdy na początku klasy maturalnej zadeklarowałem, że będę studiował geologię...

GENA SOBIE NIE WYDŁUBIESZ...

...mawiają często biolodzy. Mój przypadek zdaje się w pełni potwierdzać tę jakże naukowo brzmiącą teorię.

Końcowy okres nauki w liceum upłynął pod znakiem przygotowań do matury i późniejszych egzaminów wstępnych na geologię. Jako przedmiot maturalnego egzaminu ustnego wybrałem geografię. Marzyła mi się praca geologa, którą w tamtym czasie utożsamiałem z podróżami i ciekawą pracą badawczą w terenie. Byłem zdeterminowany... i sam już nie wiem co mnie podkusiło, aby po egzaminach pisemnych pójść do wychowawczynie i prosić ją o zmianę wybranego uprzednio egzaminu ustnego z geografii na biologię. Pamiętam za to doskonale osłupienie wychowawczynie, nota bene naszej nauczycielki biologii, gdy uzasadniając moją prośbę zakomunikowałem, że „postanowiłem studiować biologię”.

Nigdy nie żałowałem swych wyborów życiowych, a patrząc z perspektywy dnia dzisiejszego, wręcz mogę powiedzieć, że miałem w życiu sporo szczęścia. Wbrew obiegowym opiniom uważam biologię za naukę ścisłą i królową nauk wszelkich. Jestem wdzięczny rodzinie, losowi i genom, że wybrałem właśnie ten przedmiot jako kierunek studiów. Biologia, będąca jedną z dziedzin nauk ścisłych, uczy, że cały otaczający nas świat jest logicznie uporządkowany. Uczy ponadto pokory wobec otaczającego nas środowiska i tego, że niektóre reguły są prawdziwe mimo, że wyjątki od nich stanowią w niektórych przypadkach większość. Uważam, że zrozumienie tych prostych prawd, jest rzeczą cenną nie tylko z naukowego punktu widzenia. Jest również cenne i przydatne w życiu codziennym.

Mój syn, który nosi łatwe do przewidzenia imię, jest obecnie w klasie maturalnej. Na pytanie o studia, bez wahania odpowiada, że będzie studiował informatykę. Ja jednak nie mam takiej pewności jak on i wcale bym się nie zdziwił, gdyby w przeddzień egzaminów maturalnych zmienił zdanie i wybrał biologię... lub przynajmniej bioinformatykę. Gena w końcu sobie nie wydłubiesz...

Autor: Andrzej Pieczyrak

Zdjęcia są własnością autora

Źródło: [Dziennikarstwo Obywatelskie](#)

Na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 2.5 Polska